Agnieszka Frączek

Rany Julek!

O tym, jak Julian Tuwim został poetą

Agnieszka Frączek
Rany Julek!
O tym, jak Julian Tuwim został poetą

© by Agnieszka Frączek
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie VII

ISBN 978-83-7672-219-1

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

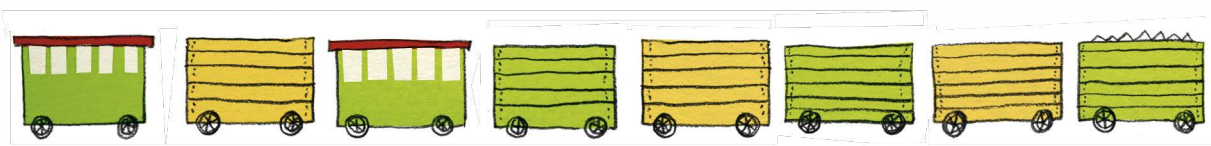

Dzieci bzdurzą i – że tak powiem – chcą być bzdurzone.
Potem im to przechodzi. Któremu nie przejdzie
– zostaje poetą.

J. Tuwim, *W oparach absurdu*

To są okulary pana Hilarego –
załóż je na nochal i spróbuj, kolego,
znaleźć w tekście, który masz tuż przed oczyma,
pomysły ściągnięte od pana Tuwima.

…karmiony byłem (…) wierszami…*

– Damy mu na imię Julek – zdecydowali państwo Adela i Izydor Tuwimowie, kiedy pewnego wrześniowego dnia 1894 roku ich syn głośnym: „ła, ła, ła!" oznajmił swoje przyjście na świat.

– Może będzie lekarzem albo adwokatem jak twoi bracia? – zastanawiał się pan Izydor.

– A może tak jak ty, Izydorze, będzie pracował w banku? – zgadywała pani Adela.

– Ła! – odpowiadał na to Julek**.

To „ła!" wydało się rodzicom wyjątkowe – wyjątkowo wyraziste, wyjątkowo przekonujące, a przede wszystkim wyjątkowo donośne – natychmiast więc doszli do wniosku (słusznego, jak się miało okazać), że i Julek musi być wyjątkowy.

– Od razu widać, że ma zdolności do języków – cieszył się tata. A znał się na rzeczy, bo sam świetnie mówił po francusku, rosyjsku i niemiecku, uczył się nawet włoskiego.

---

* Tytuły rozdziałów pochodzą ze wspomnień J. Tuwima, zebranych [w:] Julian Tuwim, *Dzieła*, tom V, *Pisma prozą*, Czytelnik, Warszawa 1964. Cytaty w tekście zaczerpnięte zostały z *Dzieł* oraz z wierszy poety.

** kiedy człowiek ma pięć dni,
praca ani mu się śni

– A jak on lubi muzykę! I poezję! – wołała mama, zerkając z dumą na płaczące zawiniątko. Nuciła synkowi do snu mazurki Chopina, a gdy trochę podrósł, czytała mu wiersze. Nie te o kotku, który był chory i leżał w łóżeczku, o nie! Pani Adela czytała Julkowi całkiem dorosłą poezję.

Pewnego dnia przypomniała sobie, że jako nastolatka pracowicie przepisywała z pożyczonych książek do kajetów swoje ulubione wiersze. Wyciągnęła więc z kufra stos zakurzonych zeszytów – każdy z nich podpisany był: „Kajet do wierszy Adeli Krukowskiej" – i od tej pory codziennie siadała z Julkiem na sofie, by przewracając kartkę za kartką, udzielać mu pierwszych lekcji literatury.

– „…i ciemno, i wietrzno, a tętni po błoniu, to ojciec z dziecięciem mknie nocą na koniu…" – czytała.

A Julek słuchał z zachwytem.

Kiedyś, kiedy z małego Julka wyrósł na całkiem dorosłego pana Juliana, pisał o tych wierszach: „najpiękniejsze, najukochańsze, niezapomniane".

Kiedyś, kiedy był już wielkim poetą, wspominał: „Od wczesnego dzieciństwa karmiony byłem, bez przekarmiania, wierszami i piosenką".

Kiedyś…

Ale na razie pan Julian był Julkiem – wesołym, rozbrykanym chłopcem. I właśnie o nim jest ta książka.

…bzik chemiczny miał swego podbzika:
pirotechnicznego…

Rany Julek!

Rany Julek!
Trach, bach, bam!
Co to?
Wybuch!
Gdzie? Ach tam!
Pachnie siarką!
Siarką?! Och!
Huk był straszny!
Więc to proch!
Spójrzcie w górę!
Ile dymu!
Beczka prochu u Tuwimów!!!

Oczywiście, że u Tuwimów! Bo któż inny, jak nie Julek Tuwim, wpadłby na podobny pomysł? Nie, nie, prochu Julek nie wymyślił. Na szczęście! Skąd więc wybuch? Och, głupstwo. Wystarczyło wziąć torebkę saletry, dosypać do niej parę łyżek siarki, domieszać (dla lepszego efektu) kilka szczypt żółtego proszku niewiadomego pochodzenia, podpalić to wszystko i gotowe. Trach, bach, bam!

– Ała! – pisnął chłopiec. – Moja ręka!

Wyskoczył jak (*nomen omen**) oparzony z gęstej chmury dymu i w dzikich podskokach pognał do kuchni. Nie pomogła jednak zimna woda, nie przyniosło ulgi chuchanie ani dmuchanie na poparzoną rękę. „Piekielna miszkulancja", jak Tuwim we wspomnieniach nazywał swój wynalazek, tak poważnie zraniła młodego chemika, że nie obyło się bez wizyty u lekarza.

– Ho, ho, ho! – wyraził swoje zdumienie doktor. – Fantazji to panu Julianowi nie brakuje!

Powzdychał, pocmokał, a wreszcie wysmarował bąble jakąś nieprzyjemnie pachnącą maścią, zabandażował rękę i polecił pacjentowi trzymać ją przez tydzień na temblaku.

* kiedy imieniu wbrew
Lubomir wpada w gniew,
to jest to osobliwość, sensacja, fenomen…
a gdy się gniewa Gniewosz, to jest *nomen omen*

– Na temblaku*? Przez tydzień? AŻ TYDZIEŃ?! – nie dowierzał Julek. – A moje doświadczenia? A laboratorium?!

Laboratorium Julka mieściło się na „taburecie”, czyli niewielkim, drewnianym stołku, stojącym w rogu kuchni. Chłopiec spędzał tam całe godziny. Zawsze traktował swoje bziki, jak sam je nazywał, wielce poważnie, a bzik chemiczny zasługiwał na specjalne względy – szesnastoletni Julek czuł bowiem (ba! był tego pewien!), że z powołania jest nikim innym, tylko chemikiem. Albo wręcz… magiem!

Frajdy osiem dag

W najmroczniejszym z mrocznych kątów,
gdzie do dziś był dom pająków,
szufli i łysawej miotły,
teraz ktoś rozstawia kotły,
flaszki, fiolki i flakony,
wnosi wielki słój omszony,
rozsypuje dookoła
jakieś proszki, jakieś zioła…
Bierze siedem równych szczypt
kurzu z najciemniejszych krypt,

* jedna ręka na temblaku?
ale druga nie, chłopaku!

chwyta cudzych wspomnień huk,
szczurzych kłaczków parę sztuk,
krzywy, piegowaty grzyb
i skrzypiący polny skrzyp…

Czary-mary… oto mag
stworzył frajdy osiem dag.

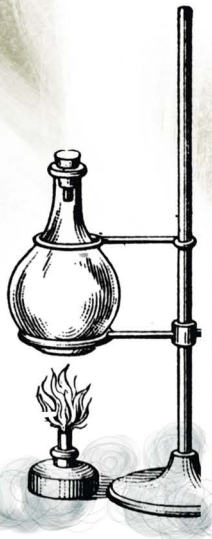

Zaczynał skromnie – proszek do zębów mieszał z pianą mydlaną, gorącą stearynę wprost z rozpalonej świecy wlewał do atramentu, farbkami kuchennymi barwił ocet. Ale wciąż mu było mało! Znosił więc z apteki, co się dało, mieszał to, ubijał w moździerzu, ważył, przelewał… W jego laboratorium na kuchennym „taburecie" robiło się coraz ciaśniej. Dlatego czasami opuszczał kuchnię – ku rozpaczy młodszej siostry, Irenki, która uwielbiała się przyglądać, jak Julek „czaruje"* – i przeprowadzał swoje doświadczenia to na podwórku, to na mrocznych schodach kamienicy. Zwłaszcza do atmosfery schodów – panującego tam półmroku, zniekształconych głosów, dobiegających zza drzwi sąsiadów, i chłodu, przyprawiającego o dreszcze – świetnie pasowały wszelkie „tynktury czarnoksięskie" i „essencje alchemickie" wyczarowywane przez Julka.

To właśnie na tych schodach doszło do sławnego wybuchu, który tak przeraził domowników i zatrwożył sąsiadów Tuwima. Donośne „trach, bach, bam!" przestraszyło nawet przechodniów, spacerujących tego wiosennego popołudnia łódzkimi ulicami. Ale najbardziej przeraziło mamę Julka, panią Adelę Tuwimową. Nikogo więc chyba nie zdziwi,

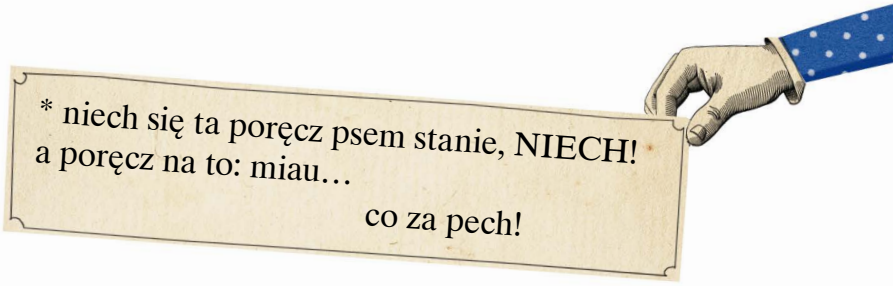

że ukochane laboratorium jej syna już następnego ranka przeniosło się z kuchennego stołka wprost do najbliższego śmietnika…
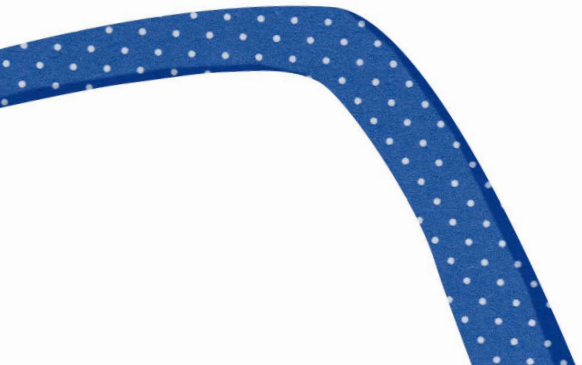
Tuwim nie martwił się tym długo. Jeszcze zanim z jego ręki zniknęły ślady po pirotechnicznej katastrofie, już poświęcił się kolejnemu bzikowi. Bo lekarz, który poznał po bąblach, że „fantazji panu Julianowi nie brakuje", trafił w sedno. Julek miał mnóstwo pasji, a wszystkiemu, co robił, oddawał się żarliwie. Tak zresztą było zawsze, nawet wtedy, gdy jako kilkuletni chłopiec bawił się na podwórku w strażaków.